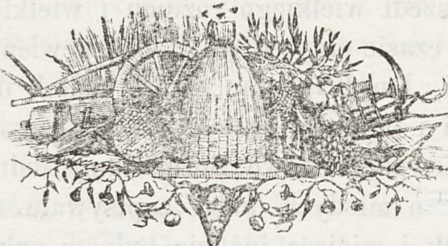
Tom IX. Nr. 9.

21. Września 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Władysław z Gielniowa.

Jest w Sandomirskiem małe miasteczko Gielniów, niedaleko Radomia. Otóż w tem miasteczku żyli za czasów króla polskiego Władysława Warneńczyka zacni i pobożni mieszczanie, a między nimi jeden najbardziej z żoną swoją, który był dla wszystkich przykładem uczciwości i pobożności. Mieszczanin ten był dość zamożny, od wszystkich szanowany i kochany, więc nieźle mu się działo i szczęścia nie brakło. Jedna tylko rzecz trapiła go z żoną srodze, a to jest iż nie mieli dzieci. Modlili się więc szczerze o potomstwo, i naostatek dał im Pan Bóg syna, którego ochrzcili na imię Jan.

Piszą w starych xięgach, iż mało bywa takich dzieci jak ów Janek. Było to pobożne i zacne jak aniołek, w szkole w miasteczku uczyło się najpilniej, a już całą resztę czasu od nauki przesiadywało po kościołach na modlitwie. Kiedy tak podrósł Janek, oddali go rodzice do szkoły krakowskiej, którą ufundował i odnowił ojciec króla Władysława Warneńczyka, pobożny król Jagiełło. Szkoła ta była już bardzo sławna za czasów Jana, mnóstwo dzieci polskich uczyło się w niej rozumu

i pobożności, a nauczycielami byli sławni i święci ludzie jak Jan Kanty, Szymon z Lipnicy i inni. W tej szkole uczył się także Jan, i doszedł wielkiego rozumu i wielkiej pobożności.

W owymto czasie przybył do Polski pewien sławny i święty zakonnik włoski, Jan Kapistran, który umiał dziwnie nauczać ludzi pobożności i dobrego życia. Kiedy ten święty mąż jął w Krakowie opowiadać słowo Boże, tłumy ludu cisnęły się na naukę, a mnóstwo młodych ludzi zapisywało się do jego zakonu. Naostatek i miejsca już nie było w zakonie bernardyńskim dla nowych zakonników, a ciągle jeszcze chciało wstępować wielu ludzi. Między tymi był także nasz Jan, który sobie postanowił koniecznie zostać zakonnikiem, i to takim pobożnym a zacnym bernardynem jak Jan Kapistran.

Widząc iż w krakowskim zakonie nie ma miejsca, wybrał się Jan do Warszawy, i tam wstąpił do zakonu ojców Bernardynów w roku pańskim 1457, a więc za czasów panowania króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, brata króla Władysława Warneńczyka, pana zacnego, pobożnego i sprawiedliwego. Wstąpiwszy do zakonu, przybrał Jan imię Władysława, na pamiątkę onego króla Władysława Warneńczyka, za którego panowania się urodził, i który zginął broniąc wiary świętej przeciw Turkom.

Niebawem doszedł ojciec Władysław wielkiej świątobliwości. Zakonnicy wybierali go ciągle na swego starszego, a on nie rad był temu. Każdy człowiek zwykły lubi być starszym i znaczniejszym, lubi drugimi rządzić a nie słuchać nikogo. Inaczej myślał ojciec Władysław. On właśnie nie lubił być starszym i drugim rozkazywać, ale chciał być najmniejszym i najposłuszniejszym, chciał być pokornym i ubogim, maluczkim i posłusznym, a wszystko z wielkiej pobożności. Kiedy go zakonnicy ciągle wybierali na starszego, mówił im z płaczem:

— Bracia moi! toć pozwólcie mnie słuchać drugiego, toć uczyńcie sobie kogo inszego starszym. Ja nie godzien jestem rozkazywać wam, i niemam tyle rozumu i dowcipu, abym mógł dobrze rządzić drugimi. Ja chcę tylko w spokoju Bogu się modlić, słuchać i usługiwać drugim.

Ale zakonnicy odpowiadali mu i prosili:

— Ojcze miły, a cóż stanie się z nami, kiedy ty nie zechcesz rządzić i opiekować się nami. Nie ma u nas mądrzejszego i zdatniejszego, a już najbardziej niema świątobliwszego. Toć nie opuszczaj nas ojcze!

Tak był ciągle Władysław starszym w zakonie, prowincyałem na całą Polskę. Sprawował on gorliwie swój urząd, odwidzał wszystkie klasztory, a zawsze pieszo choćby najdalszą drogę chodził, wszędzie nauczał ludzi słowem Bożem i zacnym przykładem. Taka ciągła praca mocno jego zdrowie zepsuła, ale on na to nic nie zważał, jeno po dawnemu apostołował między ludźmi, pracował na chwałę Bożą i na pożytek narodu polskiego.

Tymczasem umarł już król Kazimierz Jagiellończyk, a na miejsce jego zasiadł na tronie polskim syn najstarszy, król Jan Olbracht. Król ten i brat jego Alexander poważali bardzo i czcili ojca Władysława, a cała Polska uważała go już za życia jako świętego, czciła i kochała.

Zaś jedną z najpiękniejszych cnót świętego Władysława była jego miłość dla ojczyzny, dla kraju polskiego. Jak wielka była ta jego miłość, pokazuje następujący przykład.

Za króla Jana Olbrachta Polskę napadli po raz pierwszy Turcy, naród dziki i pogański. Uczynili oni w Polsce okrótne zniszczenie. Miasta i wsie popalili, mnóstwo ludu zamordowali, a więcej jak sto tysięcy ludzi z niezmierzoną mocą różnych łupów i zdobyczy wzięli do niewoli, zawiedli to wszystko do swoich krajów dalekich. Cała Polska była w wielkim żalu i lamencie.

Wówczas to święty Władysław modlił się gorąco do Pana Boga o pomoc dla ojczyzny, nakazał zakonnikom post i nabożeństwo, a sam obiegał miasta i wsie, i zachęcał naród gorliwemi kazaniami do modlitwy i obrony, pocieszał i wspomagał wedle możności. Modlił on się wówczas do Pana Boga:

— Przebacz Panie, przebacz ludowi twemu, i nie podawaj czeladki twej w sromotę i pogardę, iżby nad nią poganie panować mieli!

Ułożył także krótką antyfonę, wedle której do dziś dnia po kościołach modlą się, w ten sens:

— „Jezu Nazareński, królu żydowski! powstań i zniszcz narody barbarzyńskie, daj zwycięztwo polskiemu ludowi chrześcijańskiemu, aby wysławiał potęgę wielkiego Boga na wieki wieków Amen.“

Jakoż pomogły te modlitwy i prośby świętego xiędza polskiego, bo kiedy Turcy znowu w tymsamym roku napadli naszą ojczyznę, pomścił się na nich Pan Bóg krzywdy polskiej, spuścił takie okrótne śniegi i mrozy, że prawie całusieńkie ogromne wojsko pogańskie wyginęło od nich i zmarniało.

Tak kilka lat jeszcze pracował święty Władysław na chwałę Bożą i pożytek narodu, aż naostatek umarł w Warszawie d. 4 maja w roku pańskim 1505, więc za panowania króla Alexandra.

Swięty ten mąż umarł w późnej starości, bo miał już podówczas 65 lat, a zapamiętał panowanie aż czterech królów polskich, Władysława Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Alexandra.

Zaraz po śmierci działy się u grobu świętego Władysława cuda różne przez długi czas, tak iż w kilkadziesiąt lat arcybiskup gnieźnieński Stanisław Karnkowski postarał się o podniesienie jego zwłok. Stało się to w obecności króla Zygmunta Augusta i jego zacnej a świątobliwej siostry, królowej Anny.

Zaś w dwieście lat potem, bo aż roku pańskiego 1750, Papież Benedykt XIV uznał publicznie Władysława za błogosławionego, wpisał go między świętych patronów Polski i Litwy, a nabożeństwo uroczyste na cześć jego przeznaczył na 19 niedzielę po Zielonych świątkach.

Otóż macie moi mili ludzie znowu jednego świętego patrona Polski. Zaiste! szczęśliwy nasz kraj, który tylu świętych rodaków i patronów liczy. Więc możemy śmiało spodziewać się, że Pan Bóg nie mało ukochał nasz naród, kiedy mu dał tylu świętych, że narodem tym opiekować się nie przestanie i zaginąć mu nieda.

Prośmy jeno o zmiłowanie, prośmy o tę opiekę, a prośmy także o przyczynienie się świętego naszego Władysława, który za życia modlitwami obronił ojczyznę naszą od dzikich a okrótnych pogan, którzy uciskali i ciemiężyli ojczyznę naszą.

Nasza kosa.

Już to święta prawda, że nie masz w gospodarce pożyteczniejszego narzędzia nad naszą kosę!

Każdy kmieć polski, jak gdyby zrósł z kosą... gdy ją weźmie do rąk, to tak mu z nią do twarzy, tak jurno i tęgo wygląda, że miło spojrzeć; a kiedy zaś znowu kosą ima się pracy, to tak zgrabnie i składnie robi nią na wszystkie strony, że się nic przed nim nie ostoi, jeno wszystko wali na ziemię.

To też gdy Pan Bóg na wiosnę oblecze ziemię w zieloną sukienkę — a poźniej z łaski Bożej deszczyk ciepły i skwarne słonko w czerwcu lub na początku lipca daje wzrost zbożu i trawom, z radością spogląda kmieć na nie i oblicza sobie niecierpliwie krótki czas, kiedy już będzie trzeba dobyć zardzewiałej ze strzechy kosy — a gdy czas kośby już bliski, stali ją i klepie, przygotowuje do użytku.

W końcu nadszedł już czas ten upragniony: kośby co nie miara! to też zuchy parobcy i siwi nawet gospodarze wychodzą i wychodzą z sioła na kośbę z ostremi kosami, a słoneczko Boże odbija swój złoty promyk o lśniące żelazo, że aż serce rośnie!

Tylko tu i owdzie błyśnie ostrze kosy, a trawa wali się na ziem i wali — nie minęło też dużo czasu, a cała łąka skoszona. Czy oset, czy łopuch, czy jakie inne zielsko, co to niepotrzebnie rośnie i zawadza, kosa nic nie pyta, jeno jednym zamachem wali wszystko na ziem, co jej tylko stanie w drodze.

Ptaszki świegocą sobie cudnie wzlatując do góry na Bożą chwałę; ukryty w trawie chrząszczyk lub muszka brzęczą sobie nieśmiało; barwny motylek łopoce skrzydełkami na kwiatku; a kmieć klepie swoją nieodstępną kosę. Toć miła to dla Boga muzyka i Pan Bóg z niebios błogosławi pracy i dodaje siły, kiedy już ręka zboli od razów.

Po skończonej kośbie grabią na łące trawę... a dużo leży wszędzie, bo wcale nie próżnuje i nie żartuje poczciwa nasza kosa!....

Przez rok cały karmi gospodarz wonnem sianem swoje krówki i koniki, a bydlęta tuczą się, że aż miło, i skorsze do pracy; a komu to wszystko zawdzięczyć winniście, moi mili? jużci ostrej naszej kosie!

Po kośbie nadchodzi żniwo.

Ludzie wychodzą na pole z sierpami, ba i teraz nie próżnuje kosa: sierp do pszenicy i żyta — kosa do jęczmienia, owsa, hreczki lub pszona, a przy żniwie daleko w tyle zostaje sierp za kosą. To też niech sobie kto co chce mówi — nie masz nic w świecie nad naszą kosę!

Lecz nie dość na tem

Kosa nasza nietylko jest prawą ręką w gospodarstwie dla człeka, ale także znakomite oddała usługi w czasie wojny.

Pzypomnijcie sobie jeno moi mili czasy pana Kościuszki. Ciężko podówczas bardzo było w naszej biednej Polsce, Moskal okrótnik srodze gnębił nasz naród i zabrał nam ziemię dziadów naszych, a potoki niewinnej krwi polskiej płynęły, a łuny podpalonych przez Moskali włości przyświecały w nocy, jak gdyby w dzień jasny, a zewsząd słychać było okropne jęki rodziców po dzieciach, biednych sierot po rodzicach, wdów po mężach, siostr po braciach.

Straszne to były czasy spustoszenia na naszej ziemi, a jeśliście słyszeli opowiadania o srogich Tatarach, co to dawno na Polskę napadały i dużo złego robiły a kędy przeszły to krew i ogień za sobą zostawiały, to wszystko niczem jest jeszcze w porównaniu do tego, co w Polsce wyrabiali Moskale; człek na swojej ziemi nie miał ziemi i wolności, nie miał dachu gdzieby głowę swoją złożył, nie miał snu spokojnego, bo krew czerwona stawała mu przed oczy i dym pożarów dusił go do żywego.

Srogie te krzywdy napełniły wszystkich bez różnicy zemstą, a pan czy chłop, czy xiądz, czy mieszczanin lub rzemieślnik chwytali za broń, ażeby wypędzić z Polski Moskali, a serce rosło i Bóg błogosławił tej zgodzie, jaka podówczas panowała w Polsce pomiędzy wszystkiemi stanami.

Na czele naszych, jak wiecie zapewne stanął Kościuszko. Tęgi był to naczelnik, jakich mało w świecie a nadewszystko miłował on serdecznie stan kmiecy, a sam nawet chodził w prostej krakowskiej sukmanie.

Moskale mieli huk wojska, dużo armat i podostatkiem wszelkiej broni, kiedy nasi przeciwnie prawie nic nie mieli, to też uzbrojono się w kosy.

Zrazu myśleli Moskale, że nasi bawią się tylko w żołnierza, że z kosą idą na wojnę, aleć pożniej dała się ona im we znaki, a djabeł wody święconej tak się nie boi, jak Moskal polskiej kosy.

Mówiąc o tych czasach przypomina się zuch Bartosz Głowacki i chwat Grzegórz z pod Racławic, którzy ostremi kosami jak trawę kosili Moskali, a nawet odebrali im kilkanaście armat. Po bitwie Racławickiej odetchnęła jakoś wolniej nasza ziemia ujarzmiona przez ohydnych Moskali, a naród cały jął się z otuchą raźniej do broni; w Warszawie udało się szewcowi Kilińskiemu oczyścić stolicę w sam Wielki tydzień z Moskali, jak to już nieraz słyszeliście.

Z owych to czasów pozostała jedna stara piosnka, którą Racławiccy kosyniery śpiewali, a którą i dziś jeszcze można gdzieniegdzie usłyszeć. Jest ona taka:

PIOSNKA KOSYNIERÓW.

Oj! ostre, oj! ostre
Polskie kosy nasze,
Wystarczą za krótkie
Moskiewskie pałasze.

Kiliński, Kiliński
Poruszył Warszawę,
Sprawił on Moskalom
Gody straśnie krwawe.

Nasz Bartosz, nasz Bartosz
Pod Racławicami,
Wykosił Moskali
Ostremi kosami.

Wykosił, wykosił
I zabrał armaty —
A Kościuszko wołał:
„Otóż to mi chwaty!“

Pamiętasz, pamiętasz
Wielki strach Moskali,
Jak przed nami draby
Prędko uciekali.

Oj! ostre, oj! ostre
Polskie kosy nasze,
Wystarczą za krótkie
Moskiewskie pałasze!

Grzela z Waszkowiec.

Jak sobie Franek wyszukał biedę w dziurawej wierzbie,

c z y l i

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Opowiem wam dziwną historyę, co to niby trochę wygląda na bajkę, a przecież jest to prawda, bo mi ją opowiadał człek taki, co to mieszka w tamtej wsi, gdzie się to stało, i który kłamstwa znieść nie może, ani sam nigdy pewnikiem nie kłamie.

Owoż było to w jednej pięknej wiosce, a wieś ta nazywała się Dębiny i leżała sobie w pięknej górzystej i lesistej stronie. Przy końcu tej wioski stało sobie porządne obejście, a w tem obejściu mieszkał zamożny, silny, rosły i barczysty kmieć, niby dąb rosochaty, co się nazywał Wojciech Zagrebelny, a przy nim chowało się dwoch dorosłych i szykownych synów Bartek i Franek, niby dwa młode dąbczaki, bo jużci mówiąc po prawdzie, w tej wsi Dębinach wszyscy chłop w chłopa byli jak dęby, co to sobie wyrastały w lesie do koła.

Było to jakoś na wiosnę, jaki taki cieszył się i radował, bo wszystko znaczyło na piękny urodzaj, aż tu naraz rozeszła się smutna nowina o wielkiej brance, a niebawem za tą nowiną nadszedł także i rozkaz, aby się stawić do werbunku. Z samych Dębin wybrali dwudziestu co najtęższych chłopców, a między nimi i Bartka, starszego syna Zagrebelnego, i zaraz ich ostrzygli, umundurowali, i przez góry i lasy gdzieś w obcy kraj popędzili.

Od tego czasu zaginął wszelki słuch o naszym Bartku, bo wszystkiego raz tylko pisał gdzieś aż het z za Dunaju do starego ojca, gdzie to straszliwie na swoją nędzę narzekał, a od tego czasu nikt nie wiedział, gdzie się Bartek podział, a złośliwy Franek powiedział nawet staremu ojcu, jakoby się z pewnością o tem dowiedział, że starszy brat jego zginął na wojaczce. Staremu Wojciechowi na taką wiadomość zrobiło się bardzo markotno, i od tego czasu zaczął potrochę chyrlać i chyrlać, aż nareszcie na dobre zaniemógł, i po kilku tygodniach pożegnał się z tym światem.

Młodszy syn jego Franek objął gospodarkę, i myślał że cała ojcowizna będzie jego, bo o starszym bracie nie było ni słychu ni dychu.

Tymczasem kiedy grób starego Zagrebelnego już siedem razy zielenił się i bielił, a krzyż nad grobem już dobrze mchem porósł, zjawia się naraz we wsi Bartek obdarty z kijem w ręku i z torbą na plecach i kiedy do rodzinnej chaty zapukał, to Franek nawet go wpuścić do niej nie chciał, nie poznając w nim jak to mówił swojego brata.

Skoro zaś na drugi dzień wykazał się Bartek że taki on pewnikiem jest jego bratem, dał mu Franek z jego połowy coś kilkanaście reńskich, bo mówił że ojciec nic nie zostawił, jeno pełno długów jeszcze, które on musiał popłacać. Wiedział dobrze Bartek o tem, że to są tylko wykręty, ale trudno było bratu z gardła coś wydrzeć, a prawować się nie chciał za żadne pieniądze, bo wiedział dobrze, że prędzej by sobie oczy wypłakał, i nogi schodził po same kolana, aniżeliby się czegoś doprosił i dochodził. Umyślił więc Bartek zacząć z innej beczki, i to mu się też setnie udało.

Poszedł on do dworu za parobka i w krótkim czasie zaczął się tak składać między ludźmi, jakby tam Bóg wie jakie miał pieniądze, i jakby tam nie wiedzieć jaki skarb znalazł. W jednem miejscu zaczął niby targować woły, to znowu dopytywał się o kupienie gruntu, i tak to wszystko doskonale udawał, że w krótkim czasie okrzyczeli go ludzie za bardzo wielkiego bogacza. Dowiedział się o tem także Franek, a ponieważ był ci to człek straszliwie zachłanny, więc też i owo mniemane szczęście brata zaczęło mu być, jak to o tem gadka mówi: w chlebie ością, w gardle kością — w moście dziurą, w drodze górą — świerszczem w uchu, szydłem w brzuchu — pniem na drodze, cierniem w nodze; zaczął więc Franek podchodzić Bartka, i zapraszać go często do karczmy na poczęstunek, aby się przed nim zwierzył, jakim to sposobem stał się on naraz z biednego takim bogatym. Długo uwodził go Bartek, ale kiedy się już dosyć najadł i napił z kieszeni Franka, powiedział mu w sekrecie, że on swoją biedę zapakował do jakiejś dziurawej wierzby, co tam gdzieś

stoi w lesie nad potokiem i kołkiem zabił, a od tego czasu ni ztąd ni z owąd płyną mu gdzieś pieniądze jak woda. Zaklinał go jednak Bartek na wszystko, ażeby o tem nikomu nie wspominał, bo skoroby się jeno kto o tem dowiedział, i przypadkiem tę wierzbę odszukał, i biedę wypuścił, to ona by go na powrót przez zemstę jeszcze więcej przysiadła jak pierwej.

Uwierzył głupi Franek temu gadaniu swego brata, i przysiągł mu nawet, że nikomu o tem wspominać nie będzie, ale sam za to zaczął w duchu przemyśliwać, jakby to tę biedę odszukać i wypuścić, ażeby brata swego napowrót do nędzy przyprowadzić.

Na drugi dzień skoro świt, udał się Franek do lasu nad potok, i zaczął tam z wielką uwagą szukać dziurawej wierzby, ażeby z niej uwięzioną biedę Bartka wypuścić. Po długiem szukaniu nareszcie natrafił Bartek na jakąś dziurawą i spruchniałą wierzbę, i z wielką uciechą zaczął wygartywać z niej pruchno i trzaski, bo myślał z pewnością że tam owa bieda siedzi, i że ją teraz z pewnością wypuści. Ale ukarał go też Pan Bóg przykładnie za tę krzywdę, którą on bratu wyrządził, i za to jego złe serce. W tej wierzbie bowiem gnieździły się dzikie osy i szerszenie, którym Franek przypadkowo gniazdo zburzył, i które teraz z wielką złością wyleciały, i całego Franka obsiadły.

Nie potrzeba wam mówić, że jak tylko kilka szerszeni człowieka ukąsi, to już trudno się wyratować, a cóż dopiero, jeżeli tysiąc żądeł w ciało się wpije. Cały opuchnięty, tak że nawet twarzy nie można było poznać, powrócił Franek do domu, a kiedy go Bartek odwidził, i on mu swoją przygodę opowiedział, rzecze tenże do niego:

Widać że to już taki dopust Boży, bo ja żadnych skarbów nie miałem i nie mam, a o tej biedzie powiedziałem ci tylko tak żartem, aby ciebie zaspokoić; a ciebie zaś, to już widać Pan Bóg sam zaprowadził na ukaranie do tej wierzby, jeżeli ty mnie chciałeś zaszkodzić.

Poznał Franek swój błąd, przeprosił pięknie brata, wy-

spowiadał się szczerze, i wnet się z tym światem pożegnał, bo już dla niego żadnego nie było ratunku.

Bartek objął teraz prawnie całą ojcowiznę i był sobie poczciwym i porządnym gospodarzem.

Jacenty z Magierowa.

Smutne skutki nieporządku.

Pewien szewc tak opowiadał o swojem nieszczęściu, które szło z nieporządku:

Byłem majstrem szewskim, miałem piękny sklep w mieście, roboty podostatkiem, duże gospodarstwo, ładną bieliznę, garderobę i 225 reńskich w Kasie Oszczędności. Pracowałem od rana do wieczora, pomimo to jednak przyszedłem do nędzy, i niech was to nie dziwi moi drodzy. Biedna żona moja (niech w Bogu spoczywa) nie była porządna, i to nas zgubiło. Rano gdym wstawał do roboty, musiałem zawsze szukać zapałek. Małgorzata nigdy ich na swojem nie położyła miejscu; szukając po ciemku, zmaczałem nieraz rękę w garnku z wczorajszym rosołem, który najczęściej zostawiała na warsztacie, w pośród skór, podeszew i klajstru; nie wiedząc o tem, plamiłem materye przykrojone na trzewiki, a ztąd znaczne ponosiłem straty. Na śniadanie mleko najczęściej się zwarzyło, bo rondel był nieczysty i trzeba było kupić inne; jedzenie zgotowane w brudnym garnku i na nieumytym podane talerzu tak było niesmaczne, że większa jego połowa zazwyczaj zostawała niezjedzoną, szło więc w pomyje i marnowało się. Naczynia i statki nieustawione porządnie, tłukły się i wyrzucały na śmiecie; słowem wydawało się dużo, a żyliśmy bardzo mizernie. Panie kupujące u mnie porzuciły wkrótce nasz sklep, gdyż odbierały robotę z materyi poplamionej, a obszycie brudziło im pończochy. Zadłużyłem się już za skóry i materye w sklepach, w domu bieda, roboty brak, a tu zima się zbliża.

Wsparty łokciami na warsztacie, dumałem zasmucony, przeklinając w duszy prześladujące mnie nieszczęście, choć byłem zdatnym i pracowitym rzemieślnikiem. Chciałem już bluźnić przeciw Opatrzności, gdy w tem wyrwało mnie z za-

myślenia wejście i powitanie sąsiada, który miał sklep obok w drugim domu.

— Słuchaj Szczepanie, rzekł on, przychodzę dać ci korzystną robotę: dostałem pilny obstalunek na sto par trzewików prunelowych i jedwabnych. Wiem, że robisz prędko i dobrze, chciałbym ci zrobić przysługę, odstępując połowę obstalunku; za robotę zapłacę zaraz, zdaje się więc że to niezły interes, tylko żebyś mi nie zrobił zawodu.

— A broń Boże! dziękuję ci mój poczciwy Tomaszu, zobaczysz, że wszystko zrobię sumiennie i na termin ukończę.

— O! wiem to dobrze, ale widzisz, boję się aby twoja żona nie popsuła roboty, chciałbym więc, żeby nie obszywała, lepiej nająć szwaczkę.. Dobiłem targu, chociaż przykrym mi był ostatni warunek; mój sąsiad oszedł, jeszcze raz powtarzając: „pamiętaj Szczepanie, żeby robota była czystą, bo inaczej nie przyjmę.“ — Małgorzatę dotknęło wprawdzie to uprzedzenie, jak nazywała, pana Tomasza, jednakże dałem słowo, trzeba było dotrzymać. Przyjąłem dwóch czeladników i obszywaczkę; za odebraną z Kasy Oszczędności resztę naszego kapitaliku kupiłem zaraz skór i materyi — wziąłem się zaraz szczerze do roboty, kilka nawet nocy nie dospałem i nareszcie obstalunek był gotów zupełnie. Nazajutrz miałem go oddać: zmęczony tak pospieszną pracą i bezsennością położyłem się wcześnie, ustawiwszy trzewiki na komodzie. Rano wstaję zadowolony, że mogę słowa dotrzymać i dostanę odrazu piękny pieniądz do ręki. Ubierając się, przychodzę, aby jeszcze raz obejrzeć robotę... O Boże! Boże!... trzewiki pływają w oleju!... zaledwie kilka par ocalało, reszta na nic zniszczona. W rozpaczy biegnę do łóżka, gdzie żona spała jeszcze, porwałem ją gwałtownie za rękę, wołając: Olej! zkąd się wziął ten olej?

— Czego chcesz? — odpowiedziała rozespana, przewracając się na drugi bok.

— Trzewiki zlane olejem!... trzewiki...

— Co? trzewiki! — krzyknęła, zrywając się na równe nogi. — Boże wszechmogący! Wczoraj nalawszy lampkę, postawiłam olej na komodzie, i musiał się rozlać!...

— Tak! musiał się rozlać; gubisz, niszczysz mnie kobieto przez twe niedbalstwo i nieporządek!...

— Ależ mój kochany, jeśli ja rozlałam olej, tośty więcej winien, żeś na nim położył trzewiki.

— A czyż ja wiedziałem?

— Trzeba było patrzyć!

I tak kłóciliśmy się, jedno drugiemu robiąc wyrzuty, gdy wszedł pan Tomasz. Zobaczywszy trzewiki porzucone w nieładzie i zatłuszczone, zaczął okropnie wyrzekać, łajać i grozić, że zapozwie nas o zawód, jaki mu robimy. Wśród takiego hałasu i zamieszania wbiega właścicielka domu, cała zdyszana, mówiąc: Mości panie! dość już tych krzyków i nieładu — proszę wyprowadzić się od kwartału — zniszczyliście mieszkanie nieporządkiem i brudami; dziękuję za takich lokatorów i raz jeszcze powtarzam: proszę się wyprowadzić!

Tak tedy pozostałem naraz bez grosza i przytułku; sprzętów nawet trudno było sprzedać, tak były zniszczone przez nieporządek. Pogłoska o moim ostatnim wypadku prędko się rozniosła i odstręczyła resztę moich kupców. Zeszedłem na czeladnika, ale i tak jeszcze każdy obawiał się dać mi roboty, abym jej nie popsuł. Biedna moja żona zachorowała, nie miałem czem jej ratować; musiałem oddać do szpitala i tam umarła. Odtąd nie mogłem już powstać na nogi; ciągle jestem w niedostatku i zaledwie na chleb zarabiam, naprawiając stare obuwie; gdy tymczasem wielu innych żyją wygodnie, choć nie są tak dobrymi, jak ja robotnikami; a wszystko to stało się dla tego, że nie było w naszym domu porządku, który jest prawdziwem źródłem dobrego bytu, a nawet i dostatku.

Cz. N.

Przestrogi dobrego przyjaciela.

O CHLEBIE.

Któryż posiłek jest zwyczajniejszy dla każdego z nas od chleba? Każdy go rad je, każdemu smakuje, bo się od dziecka do niego przyzwyczaił. Przecież nie każdy chleb jest zarówno zdrowy.

Jeżeli jest z niedobrego zboża, albo niewypieczony, wtedy nie posila ale szkodzi. Zboże niewyczyszczone dobrze, pomieszane ze sporyszem, albo kąkolem, lub też z wołkami, nie powinno się brać na chleb, bo bardzo szkodzi. Jeżeli nie ma ziarna innego tylko porosłe, to trzeba je wprzódy w piecu po chlebie wysuszyć, potem dopiero zemleć, ciasto dobrze wyrobić, dłużej kwasić aniżeli ciasto ze zwyczajnej mąki. Dalej, bochenki robić płaskie a szerokie i wypiec je doskonale, żeby mało było ośrodki, a jak najwięcej skórki.

Zboże ze sporyszem czyli z czarnem ziarnem, co na boku żytnego kłosa wyrasta, jest najszkodliwszem, gdyż ziarno to jest trucizną i może na człowieka jedzącego chleb upieczony z zarażonego sporyszem zboża śmierć sprowadzić.

Oprócz tego chleb spleśniały jest także ludziom szkodliwy, bo sprawuje gorączki albo rznięcie w brzuchu, a tembardziej kiedy się po nim wody napije.

Żeby chleb był dobry, trzeba go piec z mąki suchej, dobrze przesianej, gdyż otręby i oście w mące razowej wcale żadnego posiłku nie dają; ciasto powinno dobrze się wyruszyć, żeby się nie robił zakalec, bo ten nietylko że nie posila ale szkodzi, osobliwie też dzieciom.

Chleb gorący, chociaż niejeden go bardzo lubi, jest bardzo szkodliwy zdrowiu, zwłaszcza też jeżeli się kto po nim wody napije, wtedy można dostać kolek i strasznego morzyska; a zdarzało się nawet nieraz tak że po zjedzeniu chleba prosto z pieca, wkrótce potem ludzie umierali. Osobliwie też pilnować trzeba, żeby dzieci gorącego chleba nie jadły. Najzdrowszym jest chleb do jedzenia we 24 godzin po upieczeniu. Żeby chleb był strawny, czyli żeby szedł człowiekowi na posiłek, to koniecznie do niego trzeba dodać coś tłustego, jak naprzykład trochę masła lub kawałek mięsa.

Niejednemu wydawać się to może zbytek, ale to wcale nie jest zbytek, bo kto do chleba dodaje trochę tłuszczu albo mięsa, ten sobie dużo oszczędza krwi i ciała, i staje się sposobniejszym do pracy.

Mięso i tłuszcz dodane do chleba, przydają człowiekowi bardzo wiele siły i robią go wytrwalszym w każdej robocie.

O OKRASIE, OWOCACH I GRZYBACH.

Bez soli i okrasy jeść prawie nie można. Okrasa czy to będzie słonina, czy masło powinna być młodą, a nie starą, bo stara nietylko że jest gorzka i niemiła, ale w gardle drapie i co gorsza zdrowiu szkodzi. Stary olej ze wszystkich najszkodliwszy. Więc po co kupować zestarzałą omastę, kiedy nie zdrowa; jeżeli parę centów oszczędzisz na kieszeni, to za parę złotych stracisz zdrowia. Oszczędzisz trzy centy, a jak cię porwie morzysko, to cały dzień nic nie zarobisz, — to mi oszczędność! Sól także jest koniecznie potrzebną, bo po soli człowiek lepiej trawi.

Owoce dojrzałe i dobre, są dla ludzi zdrowe, ale niedojrzałe i zielone, sprowadzaja krwawą biegunkę i rznięcie, więc też ojcowie i matki powinni przestrzegać dzieci aby zieleniny, niedojrzałych jabłek, gruszek i śliwek nie jadły, bo choroba może przyjść z tego, a nawet śmierć. Owoce dojrzałe jak mówiłem, są zdrowe i każdy powinien starać się, ażeby miał przy domku sadek, a w nim kilkanaście drzewek. Gdybym to widział przy każdym domu, w każdej wsi sad, a w nim dużo i dobrych drzew owocowych, toby się rozradowała dusza moja, bo owoc i w domu się zda i grosz do kieszeni niesie, a ja bym rad byście mieli w domu wygodę i dostatek.

Jest jeszcze jeden gatunek pokarmu, który dodany do kaszy albo klusek na rzadko ugotowanych dodaje i smaku i posiłku. Są to grzyby, ze wszystkich roślin które ziemia wydaje najbardziej w posiłku podobne do mięsa.

Ale z grzybami trzeba bardzo ostrożnie się obchodzić, bo między zdrowemi są i trujące, a zamiast posiłku, można sobie śmierć kupić. Kto zje trujące grzyby, to ma gniecenie w żołądku, zbiera mu się na wymioty, czasem usta, gardziel i język spuchną, dostaje strasznego morzyska, biegunki krwawej, potem mdłości, drgawek, nudów, potów zimnych, a potem przychodzi śmierć.

Ktoby więc zjadł trujące grzyby niech co żywo weźmie na womity; niech pije jak najwięcej ciepłej wody z mlekiem,

palec wsadzi do gardła, a tymczasem posłać jak najprędzej po doktora, żeby od śmierci ratował.

Nigdy więc braciszkowie nie jedzcie, ani nikomu w swem domostwie nie dopuszczajcie, ani zbierać, ani gotować, ani jeść takich grzybów, których dobrze nie znacie, abyście tej nieostrożności życiem nie przepłacili.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo w Rzeszowie. Pisałem wam moi mili w poprzednim Dzwonku, iż w Rzeszowie zostało zapowiedziane na ten miesiąc uroczyste nabożeństwo, a to na pamiątkę stuletniej rocznicy, jak tam ukoronowano cudowną statuę N. Maryi Panny, Królowej Polskiej. Otóż nabożeństwo to odbyło się takim po rządkiem.

Już w sobotę 5go września rozpoczęło się nabożeństwo solennemi nieszporami i kazaniami, na których było mnóstwo ludzi, a także xiądz arcybiskup lwowski, xiądz bi kup przemyski i inni xięża. Ciągle też przybywały procesye z bliższych i dalszych okolic. Kiedy w poniedziałek przy solennej procesyi wyniesiono z kościoła bernardyńskiego cudowną statuę Matki Boskiej, aby ją ustawić na ołtarzu pod gołem niebem, gdzie się ciągle odprawiało nabożeństwo, było już wtenczas więcej jak 50 tysięcy ludzi.

Pobożność była wielka i wszyscy modlili się gorliwie. Ciągle prawie nauczali xięża lud kazaniami, a już najwięcej xięża Padowicz, Jabczyński i Dzikowski. Nauczali oni lud o dawnych dziejach i dawnej pobożności polskiej, o tych czasach, kiedy to szczęśliwą i błogosławioną była ojczyzna nasza, bo miała uczciwość i pobożność, łaskę Bożą i cudowne jego miłosierdzie. Xiądz Dzikowski wezwał lud cały do modlitwy za uciśnionych braci naszych, którzy walczą przeciw okrótności moskiewskiej za wolność wiary świętej i za swobodę życia. Przypomniał on okrócieństwa, jakie Moskale popełniają na Polakach, jak męczą wszystkich i katują, jak mordują starców, kobiety, dzieci i xięży, a kościoły boskie plugawią.

Lud modlił się ciągle gorąco do Pana Boga i cudownej Matki Boskiej. Było aż 136 xięży, którzy odprawiali nabożeństwa. Trzy dni trwała uroczystość, a naostatek odniesiono cudowną statuę na dawne miejsce. Wszyscy rozeszli się z wielkiem nabożeństwem i nauką.

Nieszczęśliwe wypadki. W Lesienicach w obwodzie lwowskim kopało 5go września dwoje glinę, a to pietnastoletni chłopak Wasyl Szwed i starsza jego siostra Marynka. Nieszczęściem oberwała się ziemia i zasypała oboje, tak iż chłopcu rozgnietło głowę i umarł, a dziewczynę uratowano. — Zaś w Sieniawie w obwodzie przemyskim utonął jeszcze tamtego miesiąca flisak Jan Michałowicz, kąpiąc się w Sanie, i dopiero na drugi dzień znaleziono trupa.

Pożary. Tych jest ciągle dosyć dużo. Tamtego miesiąca dnia 27go wybuchł pożar w Makowiskach w obwodzie przemyskim i spalił sześć gospodarstw do szczętu. Zaś 5go września wybuchł ogień w miasteczku Kamionce w obwodzie złoczowskim, i spalił dom jeden żydowski.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**